

Grzegorz Eberhardt – *Gdy język polski był językiem dyplomatów*

„Tygodnik Solidarność”
nr 32 z 10 sierpnia 2007 r.

Ostatnio, na łamach jednego z dzienników możemy znaleźć listę niedocenianych lub przecenianych polskich twórców. Nikt z uczestników (i uczestniczek) tej ankiety nie wymienia wśród niedocenianych Władysława Zambrzyckiego.

Nieobecność na tej liście nie przynosi mu żadnej ujmy. Nie ma na niej także np. Floriana Czarnyszewicza, nie ma Karola Wędziagolskiego. Nieobecności te mówią jedynie o niedoskonałości naszego światka opiniotwórczego, a nie o kondycji literatury.

Choć Władysława Zambrzyckiego nie ma już wśród nas od kilku dekad (ur. 1891, zm. 1962), to teraz do jego powieści jak: *Kaskada Franchimont*, *Nasza Pani Radosna* czy *Kwatera Bożych Pomyleńców* dołączyła powieść-relacja z Warszawy roku 1650, *W oficynie Elerta*. Nasza zagmatwana historia, czyli epizod o nazwie PRL, spowodował, iż tytuł ten dopiero teraz poznajemy.

W oficynie Elerta Zambrzycki napisał w roku 1952. Napisał, i – zapewne – ani próbował zgłaszać któremuś z wydawnictw. Idea książki, najkrócej streszczając, zawiera się w opisie najazdu (w charakterze poselstwa) wschodniej dzicy, moskwian, na kraj cywilizowany. Ów kraj to Polska Jana Kazimierza, państwo jeszcze potężne, jeszcze wolne wolnych obywateli. I nie złośliwością kierowany, a jedynie dla informacji podam, iż Zambrzycki, pracował przed wojną, m.in., jako cenzor. Znał więc swego wroga. W pierwszej połowie lat 50. napisał i inną, podobnie uciezkową opowieść *Pamiętnik Filipka*. Książka była związana z ulubionym miastem pisarza, tj. Warszawą. Autor umieścił ją w czasach cenzorsko bezpieczniejszych, w początkach XIX wieku. *Pamiętnik Filipka* ukazał się w roku 1956, przy okazji październikowej odwilży. Szybko zresztą doczekując się wznowienia.

Zambrzycki, zanim stał się pisarzem, wykazywał się sporą odwagą eksperymentatora. Już w wieku czternastu lat, w 1905, czasie rewolucji, skonstruował bombę, wysadzając nią damski szalet w rodzinnym Radomiu. Śledztwo podjęte w tej sprawie zmusiło go do szybkiego opuszczenia ziem rodzinnych. Wylądował w Belgii, tam też podjął studia chemiczne. Po wojnie w roku 1920, powraca do badań naukowych. Jedno z nich kończy się tragicznie, w wyniku eksplozji Zambrzycki traci oko. Tym samym kończy się jego etap życia związany z chemią. I wtedy odkrywa w sobie pasję dziennikarską i pisarską. Jego pierwsza powieść z 1931 r., *Nasza Pani Radosna*, zyskuje ogromną popularność. Przypowieść napisana mistrzowskim stylem, z jasnym moralnym przesłaniem, oryginalna w pomysłu, bo bohaterowie ze starożytnej Pompei przenoszą się do Europy początków XX wieku. Już debiut prozatorski Zambrzyckiego przedstawiał twórcę, którego nazwać erudytą to o wiele za mało dla oceny jego czytania. To czytanie, ale i sposób wykorzystania posiadanej wiedzy stawia go w rzędzie najoryginalniejszych polskich twórców. Odwaga, wręcz ryzykanctwo, z jakim ekspery-

tuje z ową wiedzą, przypomina właśnie badania najodważniejszego z chemików. W przypadku chemii nie wyszło mu, w przypadku literatury – jak najbardziej.

Udowadnia to i teraz ukazującą się na rynku, w 75 lat po debiucie, opowieścią *W oficynie Elerta*. Kilka dni z życia miasta zapisane przez dwóch pamiętnikarzy. Dni szczególne, dni pobytu w Warszawie poselstwa moskiewskiego. Od wyników tej misji zależy wojna albo pokój.

By owe dni opisać, potrzeba, tak jak w przypadku *Naszej Pani Radosnej*, wehikułu potrafiącego pokonać czas. Tu wehikułem jest potęga wiedzy autora. Od dokładnej znajomości topografii ówczesnej stolicy, jej obyczajów, praw poprzez niuanse gwary (w tym i gwary Krakowa), perfekcyjną znajomość ziół, książek krążących na rynku, ale i znajomość imion... krów w radomskim. Plus znajomość obyczajów, stroju, języka moskwian przybyłych do Warszawy z bardzo bezczelną misją. Jednym z narratorów książki jest malarz, pracujący nad obrazem dla kościoła św. Marcina. Artysta najwięcej problemów ma z aniołem. Oddycha z ulgą, gdy poznaje miejscową latawicę, Monikę – anioł otrzymuje jej twarz. Drugim narratorem jest księgarz. U niego spotykają się najmądrzejsi w mieście i – po wymianie najaktualniejszych informacji – prowadzą długie dyskusje, często filozoficzne. Przy okazji, czasem, kupią książkę. Kupują je także moskwianie zaskoczeni, że ot tak, bez zgody można nabywać książki. Tytułowy Piotr Elert, księgarz, jest miłośnikiem gry na skrzypcach, od przybyłych na dwór królewski pieśniarzy włoskich (eunuchów, tu zwanych hejnuchami) kupuje „skrzypce czterostrunne dziwnego kształtu o bokach bardzo wciętych. Na desce zauważyłem dwie szpary podobne do wydłużonej litery S”. Jak wyczytują, ich twórcą jest niejaki Mikołaj Amati z Cremony...

Mam nadzieję, iż edycja *W oficynie Elerta* jest początkiem wznowienia dzieł Zambrzyckiego. Dziś – miejmy nadzieję, iż są ku temu materiały – wydanych bez ingerencji cenzorskich. Tu przyznam się, iż czekam z ogromną nadzieją na druk pełnej wersji najważniejszej książki Zambrzyckiego, czyli *Kwatery Bożych Pomyleńców*, ciągle niedocenionej opowieści z Powstania Warszawskiego.

Póki co, polecam cofnięcie się wehikułem Zambrzyckiego w czasy, gdy język polski był na wschodzie Europy językiem dyplomatów. I np. chan krymski po polsku korespondował z carem.